

PLOMYCZEK

TYGODNIK Z OBRAZKAMI DLA MŁODSZYCH DZIECI



WIELKIE SPRZĄTANIE.

Mądre wiersze.

Któregoś dnia Szymek, wracając ze szkoły, już na progu zaczął wykrzykiwać:

— Żebyście wiedzieli, jakie ja mądre wiersze umiem! Ho! ho! Te wiersze trzymają się parami, tak jak buty, zawsze po dwa. No zgadnijcie, o czym są one?

Ale kto miał zgadywać? Mamusia w kuchni gotowała obiad, Józek, siedmiolatek, z wielkim zajęciem coś lepił z gliny, a malutka Frania cichutko siedziała pod stołem i usypiała lalkę.

Więc też Szymek, że mu nikt nawet nie odpowiedział, sam zabrał się do powtarzania tych wierszy:

— Mądry człowiek codzień myje ręce, nogi, twarz i szyję.

To jedna para wierszy... Słyszycie? A teraz będzie druga:

Bez grzebienia i bez mydła,
toś podobny do straszydła.

Józek, uszy do góry, to dla ciebie.
A teraz będzie coś dla Frani:

Brzydko pachnie ten zdaleka,
kto od wody wciąż ucieka.

No cóż? Czy nie mądre wiersze?
Dalej, Józek, powtarzaj za mną!

— Ani mi śni się powtarzać! Patrzenie go? Będzie mnie uczył. Masz Burka i kota, to akurat dla ciebie uczniowie.

Zaczęli się kłócić. Wtem matka zawołała:

— Dzieci, na obiad!

Chłopcy skoczyli do stołu. Nagle Szymek zatrzymał się:

— Zaraz, zaraz, matusiu, niech ręce umyję. Pani tak nas uczyła:

W brudną rękę nie bierz chleba.

Ręce przedtem umyć trzeba.

I chleb trzeba dobrze pogryźć:

Gryź dokładnie, jedz powoli,
to cię brzuszek nie zaboli.

— Oj, zaśmiała się matka — co prawda, to prawda, że to są mądre wiersze. A które z was je zapamiętało?

— Flania zapamiętała!...

Frania wyszła z pod stołu i wyciągnęła ku matce ubrudzone łapki:

— Flania umyć łapki woli,
bo Flanię bziusiek zaboli.

Ale chociaż przekreśliła wierszyk, dobrze wiedziała, co trzeba zrobić. Pierwsza pobiegła do miednicy i rączki umyła.

J. Chrzęszczewska.

Jaś ucieka.



Dziś Jaś słyszy, mówi mama:
— Wnet zagrzeję wody sama,
wezmę Jasia do kąpieli.
Nie był w wannie od niedzieli,
trzeba wymyć dziś brudaska.—
Już Jaś słyszy: ogień trzaska,
woda bul-bul!... w wielkim garze.
— Co?! Mama się kąpać każe!
Mam wejść w wodę? Za nic w świecie!
Umknę, ani mnie znajdziecie!
Wolę cierpieć ziąb poranny,
aniżeli wejść do wanny.—

Jaś się zerwał od stolika
i do lasu prędko zmyka.

Jaś zasypia.



Jak szedł długo? Tego nie wiem.
Aż powiada: — Tu, pod drzewem
spocznę sobie, bom zmęczony.
Jakieś obce wkoło strony...

Nigdy tu nie byłem jeszcze.
Brr... coś zimno! Brr... mam dreszcze,
ale zanim mrok się zacznie,
wrócę. — Wkrótce usnął smacznie.

Był listopad. Oczywiście
z drzew na ziemię lecą liście
żółte, szare i czerwone.
Wiatr je pędzi w Jasia stronę.

Spadło liści tyle... tyle...
Skryły Jasia już za chwilę.

Jaś na łopacie.



Jasiek sen miał znakomity,
więc śpi, liśćmi tak przykryty.

Śpi i wcale o tem nie wie,
że tuż stanął wóz przy drzewie.

Stary Jakób nieodmiennie
zbiera liście, jak codziennie.

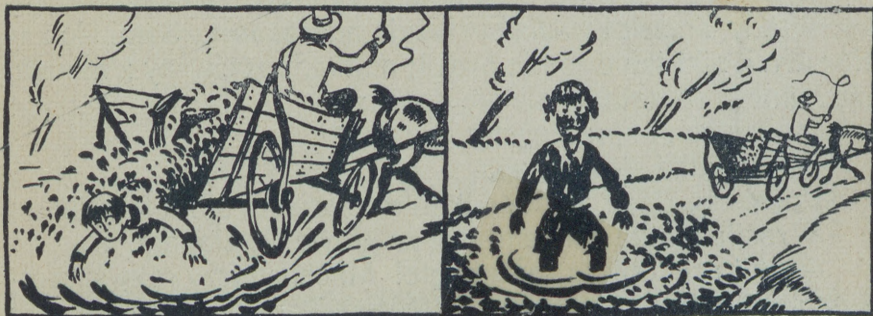
Zato dają mu zapłatę.

Mach! zagarnął na łopatę
wszystkie zwiędłe, suche liście
razem z Jasiem oczywiście.

Razem z Jasiem, z tym brudaskiem,
co spał w liściach tu, pod laskiem.

Cmoknął Jakób na kasztanka.
Nie wie nic, że wiezie Janka.

Jaś w kałuży.



Cłap - cłap - cłap... noga za nogą
jedzie Jakób polną drogą,

a na drodze są kałuże:
jedne małe, inne duże.

Ale Jakób nic nie pyta:

— Wio, kasztanku! Wio z kopyta!

Stuk - puk! stuk - puk! Oj, wesoło,
gdy na kamień wjedzie koło.

Hops! podskoczył wóz. O, Boże,
Jaś utrzymać się nie może:

rozkrzyżował ręce, nogi
i jak długi w środku drogi

chlup - klup! Janku, czy też miła
dziś w kałuży kąpiel była?

B. Ziomkówna.

Wielkie sprzątanie.

Kiedy matka wybiera się do miasta na targ, musi wyjść z domu bardzo wcześnie, żeby potem wydażyć z obiadem.

Wtedy Tomek i Basia sprzątają mieszkanie. Sami się zafiarowali, nikt ich o to nie prosił; matka, wróciwszy z miasta, teżby mogła sprzątnąć, ale się uparli:

— My sami sprzątniemy, my sami!

Więc matka się zgodziła.

Pożał się, Boże, jakie to było to pierwsze sprzątnięcie!

Wróciła matka z miasta i aż za głowę się złapała.

— A to ci dopiero sprzątnięte! Machnęli trzy razy szczotką na środku izby, a po kątach precz śmieci. To tak, jakby kto tylko sam czubek nosa umył, a brud na policzkach i na uszach zostawił. A te łóżka! Chyba ktoś na nich koziołki fikał?!

Zabrała się matka do roboty. Otworzyła okno, na nowo łóżka zasała, równiutko jak stół, poodsuwała krzesła od ściany, szuru — buru — wymiotła z każdego kącika, z pod każdego sprzetu, a potem starła miękkim gałgankiem kurz.

Tomek i Basia stali markotnie pod oknem. Było im trochę wstyd, ale następnym razem znowu:

— My sami sprzątniemy!

Zerwali się o godzinę wcześniej.

Bukiet kręcił się po izbie czując, że coś się dzieje nie tak, jak zawsze.

Basia się ubrała w matki fartuch, tylko że zamiast w pasie, musiała go zawiązać u szyi. Ledwie rodzice wyszli za próg, zaraz wszystko się w domu przewróciło do góry nogami. Krzesła powskakiwały i stanęły „suchego dęba” na stole, komoda wyjechała na środek pokoju, choć się opierała z całej siły.

„Nie ruszę się, dobrze mi pod ścianą” trzeszczała zawzięcie. Ale jak ją wzięli oboje w obroty, to się musiała ruszyć i odsłonić przyczajone pod każdą nogą całe gniazda kudłatych, wstrętnych „dziadów”. Zmiotła je Basia na szufelkę, choć na nią groźnie trzęsły brodziskami.

I tak się zawzięła na te „dziady”, że wlaźła za nimi cała pod łóżko, tylko pięty wystawały, a Tomek zabrał się do ścierania kurzu ze wszystkich obrazów, z lustra, z komody. Teraz musi mama powiedzieć, że jest czysto!..

I naprawdę pochwaliła mama, bo dobrze było sprzątnięte. Zdziwiła się tylko, że tyle „dziadów” pod komodą siedziało.

— Oj, te „dziady” to najgorsze, wszędzie się wcisną, w każdą szporeczkę.

— Już my będziemy teraz z nimi wojowali! — zawołał Tomek.

M. K.

WESOŁA TRÓJKA.

O s o b y:



GRZEBYK

MIOTELKA.

MYDEŁKO

MYDEŁKO (*mówi z dumą*).

Jestem mydło.
Tem się chlubię,
że ogromnie czystość lubię.
Myję dzieciom rączki, uszki
i rano, i do poduszki.

(*okręcając się powoli*)

Jestem gładkie,
pachnące czystością.
Żyję w przyjaźni
z wodą jejmością!
I bardzo mi jest przyjemnie,

że człowiek nie może
obejść się beze mnie.

(*śpiewa*)

Mydłu - mydłu nosek,
mydłu - mydłu szyję!
Patrzcie tylko, dzieci,
jak się brudek myje!
(*pokazuje ruchami, jak się
to robi*)

Mydłu - mydłu rączki!
Mydłu - mydłu nóżki!
Teraz już jesteście
milutkie czyściszki.

(*wchodzi*) GRZEBYK.

Jak się masz, Mydło?
Ciągłe walczyć z brudem
jeszcze ci nie zbrzydło?

MYDEŁKO (*wita go*).

A! Grzebyk!

(*z radością*)

Muszę powiedzieć waszeci,
że bardzo mi w tej walce
pomagają dzieci.

GRZEBYK (*zdziwiony*).

Taaak?

Hm! być może...

Ale ja, mój Boże,
ciężką mam jeszcze dolę.

Gdy zbliżam się
do główek dzieci,
zaraz krzyk leci:

(*naśladuje mazgajowaty
głos brudaska*)

— Ja - się — nie - cesać —
wołę!

MYDEŁKO (*pocieszająco*).

O, to się napewno zmieni
jeszcze tej jesieni.

(*półgłosem, w tajemnicy*)

Mówił mi tu jeden chłopczyk
mały,
że już od jutra wszystkie
dzieci

chętnie się będą cesały,
bo chcą mieć ładne główki.

MIOTEŁKA

(*wpada z szelestem, kłania
się miło, żartobliwie*).

Przepraszam!

Co to za rozmówki?

MYDEŁKO

(*mile zdziwione*).

Aaa! Miotelka!

Miotelczka!

GRZEBYK (*zachwycony*).

Panienska niczem laleczka!

MIOTEŁKA (*z dygiem*).

Jestem z prawdziwej
ryżowej słomy.

Znąją mnie czystość
lubiące domy.

Mieszkam sobie

skromnie w kątku,

lecz nie znoszę

nieporządku.

Gdy tylko palto

ze spaceru wraca,

już dla mnie praca!

(*pokazując ruchami*)

Czyszczę od góry do dołu
i nie żałuję mozołu.

To samo robię z sukniami.

A gdy się która zaplami,
wołam do pomocy szczotkę,
moją ciotkę.

Także kapelusz codzien
czyszczę niestrudzenie.

No, i to inne odzienie.

Nie zważam na ich dąsy,
wymówki surowe...

Czyszczę — i są, jak nowe!!!

MYDEŁKO, GRZEBYK

i MIOTEŁKA

(*biorą się za rączki i śpiewają
zgodnie*).

Pamiętajcie o nas, dzieci,
choć się kryjem w kątku,

bo jesteśmy wam niezbędni
w domu dla porządku.
Ja Mydełko! Ja Grzebyczek!

Ja Miotelka zwinna!
Cała trójka wciąż pod ręką
zawsze być powinna!

EWA ZAREMBINA.

Ubranie tych trzech postaci jest bardzo łatwe.

Grzebyk: cały gładziuteński, główkę ma bardzo starannie, gładko uczesaną, wspiera się, jak na lasce, na wielkim grzebieniu, wyciętym z tektury.

Mydełko: różowa papierowa sukienka, w pasie szeroka opaska z napisem: *Mydełko w najlepszym gatunku*.

Sukienka tak na dole ściągnięta, aby całość podobna była do mydełka w opakowaniu. Na głowie loczki z waty, naśladowujące mydliny.

Miotelka: czerwony obcisły staniczek, spódniczka ze słomy suta i długa, u góry przewiązana obcisłe dwa razy sznurkiem. Na czubku głowy sterczy duża szpilka rogowa.

5)

Reksio i Pucek.

Napisał Jan Grabowski.

V

Przyjaciele uznali, że niema co robić na podwórku. Tembardziej, że koło skrzyni uwijała się już kucharka, Katarzyna. Zobaczyła ona żółte pióra, które niewiadomo dlaczego uczepiły się pyszczka Reksa i już biegła w jego stronę. A w ręku miała kawałek pręta wyłamanego przez Pucka.

— Śmigaj w ogród! — zdążył krzyknąć Reks i, spłaszczony się przy ziemi, przelaż pod sztachetami.

— O jej! — wrzasnął Pucek, bo go pręt dobrze przejechał po grzbiecie, zanim zdołał się prześlizgnąć za Reksiem.

— Boli cię? — spytał go Reksio, gdy, skomląc, wylaż z pod sztachet.

— Oj, boli! — jęknął Pucek.

— Tyś zawsze taki — warknął Reksik. — Beksa! Sam nie wiem, czy cię mam zabrać ze sobą?

— Dokąd? — spytał Pucek i zaraz przestał się mazać. Ty pewno myślisz, że ja się kucharce dam? A jakże! Popamięta mnie ona! — odgrażał się.

Reksio nie odpowiedział nic na te przechwałki. Wolnym kroczeniem biegł aleją między krzakami porzeczek i agrestu. Pucek biegł za nim. Z podwórza dochodził krzyk Katarzyny:

— Skaranie boskie z temi psami! Kaczęta rozpędziły! Tasiuchny, taś - taś - taś! Poczekajcie, poczwary, już ja się z wami porachuję!

Psy słyszały te groźby, ale niewiele sobie z nich robiły. Były już za płotem.



— P o k a ż e m y jej, że się jej nie boimy — szepnął Reksio do Pucka. — Przejdziemy tuż przed nią. Niech nas widzi!

I obydwa psy skręciły na ścieżkę, która biegła tuż przy sztachetach. Pewne, że im nic nie grozi, śmiały się drwiąco do Katarzyny.

Katarzyna, że właśnie miała pod ręką kubek, chlusnęła wodą na szczeniaki.

— Ojej! — wrzasnął tym razem Reksio, któremu się więcej dostało i jak niepyszny dał nura w krzaki.

— Boisz się jej? — spytał Pucek.

— Ja? Miałbym się jej bać? Dobre sobie! Ty, czarownico! Ty, brzydaku! — szczekał Reksio w stronę Katarzyny, zamiatł za sobą nogami i aż parsknął ze złości.

Trzeba jednak przyznać, że trzymał się dość daleko od sztachet i prędeziej, niżby należało, biegł w ogród.

Pucek dreptał za nim. Obieгли wszystkie krzaki, zajrzeli w każdy kąt ogrodu. Wywąchali wszystkie ślady, jakie tylko mogli wynaleźć na trawie, na ścieżkach. Pucek trafił na starą norę krecią.

— Co to jest? — pyta Reksia.

Reksik sam nie wiedział, rozumie się, coby to było. Nigdy nie widział żywego kreta. Ale miał się tam zdradzać przed Puckiem, że byle dziura w ziemi kryje nieznane mu tajemnice?

— Nigdy nie myślałem, że z ciebie taki fryc! — powiada

do Pucka, odymając się jak paw. Nie wiesz, kto tu mieszka w tej dziurze? Naprawdę, nie wiesz?

— Nie wiem — przyznaje się Pucek. — A ty wiesz?

— Wiem.

— No, to powiedz.

— Będę tam byle komu opowiadał! — parsknął Reksik. — Kop, to się sam przekonasz.

Pucek porwał się do kopania. Darł ziemię łapami, wysypywał za siebie całe tumany piasku, zasypał sobie oczy, pełno kurzu miał w nosie. Prychał też od czasu do czasu, a nawet postękiwał ciężko, bo się użnoił nielada. Wykopał już tak głęboko, że całą łepetynę mógł schować w dziurę.

— No i co? Jest? — pyta go Reks.

Pucek wsadził nos w jamę, pociągnął raz, pociągnął drugi, parsknął, powąchał raz jeszcze i powiada:

— Mysz, nie mysz! Czuć coś, ale co?

— Pokaż, ja zobaczę — warknął na niego Reksik i odepchnął Pucka od dziury.

Wsadził nos, obszedł dziurę dokoła, wsadził nos raz jeszcze, pociągnął raz, drugi i mówi:

— Nie umiesz kopać.

— To kop sam — odburknął Pucek, który już tchu nie czuł ze zmęczenia.

— Rozumie się, że będę kopał — powiada Reksik i zaczął kopać ziemię z szybkością maszyny.

Pucek usiadł przy jamie i czeka.

— Jest? — pyta Reksa.

— Zaraz będzie — wychrypiał Reksik w odpowiedzi, bo całe gardło miał pełne ziemi. — Już go słyszać. Słyszysz?

— Nie słyszę — powiada Pucek, który nasłuchiwał na oba uszy, przechylając głowę na oba boki.

— Toś głuchy! — warknął ze złością Reksik i z jeszcze większym zapamiętaniem wyrzucał za siebie ziemię.

— Jest? — pyta go znów Pucek.

— Głupis! — krzyknął na niego Reksik. — Pyta się i pyta. Jest, rozumie się, że jest. Tylko wiesz, co ja myślę?

— No?

— Że on wyszedł z domu.

— No, to niema poco kopać.

— Właśnie to samo myślałem. Przyjdziemy tu później.

— A kto to jest? — pyta Pucek i pokazuje na dziurę.

— Jak mi się jeszcze raz zapytasz, to cię tak utnę, że zobaczysz! — burknął Reks i pobiegł, nie oglądając się za siebie.



Trafił na wiadro.

Zostawiła je tu Katarzyna. Na dnie było tam trochę świńskiej karmy, rozbełtanej z wodą. Pucek, że mu się pić chciało, rwał się do kubła. Reksik go odepchnął.

— A jakże!
Wszędzie pierwszy!
Niby to mnie się nie chce pić!

— Ta woda pachnie jakoś niemiło — uprzedził go Pucek, który już zdążył powąchać.

— Nie wszędzie się trafia na przysmaki! — odpowiedział Reksik. — Nawet jeśli z początku nie smakuje, pij. Wyda ci się wyborne, jak się przyzwyczaisz.

I wsadził łeb w kubek. Chleptał skisłą breję, choć aż się w nim wszystko przewracało, taka była paskudna. Pucek patrzy w wiadro i oblizuje się.

— Masz, używaj! — szepnął wreszcie Reksik.

— A dobre? — pyta go Pucek.

Byłby mu może i odpowiedział, ale zamdliło go tak potężnie, że corychlej pobiegł przed siebie, żeby Puckowi nie psuć smaku swoim widokiem.

Dalszy ciąg nastąpi.

Przygoda Lola.

Lolo od samego ranka dziś grymasi: nie pozwolił, żeby go umyto, ubierał się chyba godzinę, a gdy zobaczył w ogródku dzieci, nie skończył śniadania i wybiegł do nich.

Ale dzieci, ujrzawszy Lola, zaczęły się głośno śmiać i pokazywać go sobie:

— O patrzcie, patrzcie! Brudas! Murzyn! Podkręć wąsy! — wołały jedno za drugim.

Rozpłakał się Lolek i wrócił do pokoju. A wtedy ciocia podała mu lusterko.

— Przypatrz się, jaki jesteś ładny!

Kiedy Lolo spojrział, sam się przestraszył siebie: cała buzia wysmarowana była powidłami, najwięcej pod nosem. Naprawdę wyglądał tak, jakby miał wąsy. Nieuczesane włoski sterczały jak szczecina.

— Ciociu, ciociu, umyj mnie! Nie chcę mieć takich wąsów!



— CZY JUŻ JESTEM ŁADNY?

Naszykowała ciocia zaraz wanienkę, wsadziła do wody brudaska i myje go, i szoruje.

A Lolo się cieszy:

— Ciociu, ciociu, podaj mi lusterko! Czy już jestem ładny?

Naturalnie, że jest ładny, prawda? Wszystkim nam ten czyściutki Lolo się podoba.

Z. Różycka.

